

PRZEGLĄD TEATRALNY.

„Przyjaciel kobiet” komedia w 5 aktach A. Dumasa syna.

Jeden z krytyków Al. Dumasa syna, tak się o rozgłosie sztuk jego wyraził:

„Ktoby chciał dokładnie zbadać sztuki i przyczynę tryumfów Dumasa syna, niechaj zrobi doświadczenie. Najprzód niech się znajduje na pierwszym przedstawieniu jego komedyi, gdzie widzowie złożeni przeważnie z demi-monde i jego przyjaciół, a potem niech przyjdzie znowu za dni dziesięć, to jest wtedy, gdy się teatr wypełnia publicznością, kupującą za swe pieniądze jeżeli nie prawo gwizdania, to przynajmniej zmarszczenia brwi. Znalazłoby się w takim porównaniu, wiele nauki i to pocieszającej. Pierwszego wieczoru wszyscy są tak uspośobieni, słuchacze i dzieło są tak ściśle ze sobą spojeni, iż zdawałoby się, że w podniesionym entuzjazmie upatrywać trzeba pewnego współnictwa. Dowiep autora, a ma on go dosyć, zwiększa się prześlizgując poprzód lampiony, a wybucha z niezmiernym efektem, gdy się dostaje między samych dobrych znajomych, którzy go też witają jako dobrego znajomego. Wszystko, czego ta publiczność żąda od swego ulubionego poety, polega na tém, ażeby *uniewinnił* niektóre zuchwałe wybryki, do czego mu sama pomaga z taką uprzejmością, że poeta musiałby być diablo niezręczny, ażeby się nie wywinął. Wszyscy apostołowie, którzy prawdę mówiąc, wściekają się w duszy o to że są tylko satelitami wielkiego planety, gdy się jednak już raz zdecydują na kadzidla, współzawodniczą ze sobą o lepsze, prześcigają się w pochwalnym wrzasku i pochwalnej przesadzie. Przesada ta, z każdym aktem wzrasta. Nadechodzi chwila w której autor mógłby nam pokazać syna policzkującego ojca, lub męża wprowadzającego kochankę do pokoju swjej żony, i uszłoby mu to, byle tylko sytuacją nastawił *tego* (crânement). Ci nawet wyteżają się na oklaski, którzy przyszli z wyraźnem uprzedzeniem, z postanowieniem mienia się na baczności, tak jest silne uprzedzenie że co zachwyca tyłu, to nie może być nieprzyzwoite lub pospolite. Naza-

jutrz dwadzieścia felietonów trąbi chwałę autora, a to pod karą ułodowania za zazdrosnych lub nieznających się.

Lecz w dziesięć dni potem, wszystko się zmieniło. Nie też ciekawszego jak patrzeć na rozczerowanie mieszczuchów, ludzi zdrowego rozsądku, którzy zawierzywszy swemu dziennikowi i wrzawie publicznej, przyszli spodziewając się cudów. Owe *bon-mots* tak hałaśliwie witane, tępią się w lodowatém miłczeniu, jeszcze gorzej zaś z owemi zuchwałemi wybrykami i sytuacyami dwójnacznymi. Nowi ci widzowie słuchają, przelekli tych niezwykłości, i następuje fatalna reakcyja. Przypomina to bicz, który trzaskać nie chce, lub fajerwerk który pstryka. Nie przeszkadza to bynajmniej, żeby sztuka nie miała stu reprezentacyj, bo Paryż jest wielki a p. Dumas syn jego prorokiem, ale zauważcie jeden szczegół. Oto sztuki p. Dumasa syna, takie okrzyczane i uwielbione, gdy po przeciagu kilkumiesięcznym znikną z afiszów, nikt już ani pomyśli ażeby je wydobyć z zapomnienia. Tymczasem inne jak: Moliera, lub nawet Helena de la Seglière mogą być zawsze grane... Widzimy więc, że jeżeli podobne sztuki udają się do tego stopnia, że przestraszają ludzi rozumnych, to da się to wytłomaczyć tem: „oto pewna publiczność daje oklaski, a reszta publiczności pozwala na to”...

Przytoczyliśmy streszczony ten ustęp dlatego, że jest wielce charakterystyczny, i że zdanie znakomitego krytyka francuzkiego o autorze francuzkim, powinno by nas z góry zwolnić od dalszego sprawozdania. Atoli fakt sam przedstawienia na tutejszj scenie, liczne powtórzenia komedyj Dumasowskich zgromadzając widzów, zdają się przemawiać za ich żywotnością, co więcej za ich naturalizacyą w gronie tak odrębnej pozornie publiczności. I prawdziwie jeżeli w Paryżu pewna tylko część publiczności, niezbyt polecająca się smakiem i stanowiskiem społeczném, zrobiła sobie bożyszcze z proroka oryginalnych lubo wcale niezdrowych idei, to mielibyśmy bardzo za złe tutejszym widzom, gdyby więcej ukochali obcego proroka od jego współziomków. Bo czyż to, co przykre wywie-ra wrażenie tam na miejscu, może być miłym i pożytecznym tutaj? Z pewnością nie, ale publiczność potrzebuje teatru, jest on dla niej nietylko rozrywką ale niemal potrzebą życia; więc uczęszcza pilnie tembardziej, gdy widzi na scenie takich artystów jak pp. Królikowski, Żółkowski i pani Modrzejewska!

„Przyjaciół kobiet” jakkolwiek stanowi pewną przerwę w systemie Dam kameliowych Dumasa, bo się obraca tym razem w sferze lepszych salonów, zachował jednak wszystkie cechy procedury badań kobiecych, właściwe już temu autorowi. Kobieta u niego, dlatego samego że kobieta, musi upaść lub padnie, lub o mało co nie upadła, a jeżeli się to ostatnie nie stało, to jedynie dlatego, że np. deszcz zaczął nagle padać. Tak bowiem blahe przeszkody, ocalają cześć kobiety, honor i spokój całej rodziny. Nie rzeczywiste moralne zasady, nie uszanowanie lub szczerą miłość kogo lub czego, ale przypadek

jakiś, niespodziewany zwrot retoryczny lub temu podobny figiel nawijający się pod pióro, wyglądają sumienie ogłuszonego widza, i rehabilitują pryncypia, któremi koniec końców świat się rządzić musi. Pan Dumas staje często w obronie dobra, tego zaprzeczyć nie można, piętnuje nawet występki lubo nietyle jako poohanbienie ducha, ile jako głupią sprawę; ale cóż z tego, kiedy u niego dobre i złe, cnota i występki tak się blisko poszturują łokciami, że wątpić nie trzeba iż oddychają jednem i tem samem powietrzem. Uczucia zacne i pocziwe, gdy się nareszcie po długim milczeniu odezwą, to się wydają niczem innem tylko paradoksami. Bo gdy tło jest niemoralne—jak się ktoś wyrzcił—pocziwość jest tylko haftem, czczą ozdobą. Ten „przyjaciel kobiet” pan de Ryons, cóż on nie wygaduje na kobiety, ileż on nie nawypuszcza strzał cynicznym dowcipem zatrutych, okazujących najwyraźniejsze zwątpienie w czystość i szlachetność kobiety;—aż tu w czwartym akcie odslania się niechęcym wierzyć słuchaczom, jako misyonarz strzegący wiary małżeńskiej, szczęścia rodzinnego i cnoty niewieściej. To oprawca, dlatego że jest wykonawcą wyroków sprawiedliwości, maż być już dlatego samą sprawiedliwością?—to pan de Ryons dlatego że się po czterech aktach przekonał, że miłość pani de Simerose dla niego nie jest prawdziwą, ma nagle udawać anioła-stróża, i świecić jako obrońca wiecznie kazoniej czci niewieściej?! Gdybyśmy nawet nie obstawali za jakąś zasadą etyczną, to pytamy się z jakiego tytułu nazwany on: „przyjacielem kobiet?” Czy za to jest przyjacielem, że przez cztery akta wtrąca się natrętnie w sprawy pani de Simerose, intrygując ją zarazem i kokietując jak najwyborniejszy Don Juan, czy też za to, że sam czując iż nie może być kochanym, oddaje ją *volens nolens* mężowi? Tacy subtelne sumienia, obosiecznego języka, a dwuznacznego postępowania „przyjaciele kobiet” są wyjątkowemi zjawiskami, więc mogą też posłużyć jako przedmiot do komedyi wyjątkowo. Gdyby nam p. Dumas dodał do tego maleńki komentarzyk, wymieniając nie więcej tylko nazwiska rzeczywiste kompromitowanej kobiety przez pana „przyjaciela kobiet,” tobyśmy sztuki całej wysłuchali ze stokroć większą uwagą, ale tak, słuchamy jej tylko jako tkanki bardzo wielu dowcipnych gawędek salonowych, lub jako tu i owdzie przytoczonej nowelki powieściowej z filozoficznym zakrojem. Oh! ta okrzyczana „użyteczność” p. Dumasa syna, czy zamiast przynieść pożytek teatrowi, nie wyrządziła jemu samemu przedewszystkiem największej szkody? Lecz przystąpmy do najtreściwszej treści „Przyjaciela kobiet.”

Pan de Ryons (przyjaciel kobiet) rozmawia w pierwszym akcie bardzo długo z panią de Leverdet, matką ładnego podlotka, a rozmawia ze swobodą i zuchwałością sądów o kobietach, które mu jednak przebacza pani de Leverdet, śnać już do doktryny pana de Ryons przywykła. Jednak radaby go ukarać; wtém zjawia się pani de Simerose, która właśnie co przyjechała z zagranicy. Następuje przedstawienie, a pani de Leverdet spostrzega że wywarła silne wrażenie na nieprzyjacielu—chciałem powie-

dzieć—na przyjacielu kobiet. W drugim akcie, państwo Leverdet, p. de Ryons, wiele gości i niejaki p. de Montègres, znajdują się w gościnie u pani de Simerose. Miła to gospodyni, a lubo nie chce słuchać namów pani Leverdet, ażeby się pogodziła z zanonym mężem, z którym się poróżniła dla błahéj przyczyny; nie jest jednak od tego, iżby nie wysłuchała cichego szepotu pana de Montègres, który żąda schadzki a grozi samobójstwem. Przełknięta, a może i wzruszona, naznacza mu sąsiedni salon na miejsce schadzki po rozjechaniu się gości. Ale przenikliwy i szpiegujący p. de Ryons domyślił się wszystkiego, i przeszkadza najformalniej schadzce, wyświadczając nieproszoną usługę pani de Simerose, i stając się jej narzucanym powiernikiem i opiekunem.

Przeszkadza on ciągle i długo, a manewruje tak zrecznie, że p. de Montègres odsłania się nagle wcale niepocześnie, i rozczarowuje nie bardzo zaczarowaną panią de Simerose. Tu właśnie zachodzi trudność w określeniu gatunku miłości téj kobiety, bo z mężem pogodzić się nie chce, pana Montègres niby kocha, ale każąc mu się uwielbiać w odległości słońca od ziemi i odgadywać najłżejsze zachcenia, rozkołysanej bezświadomém marzeniem duszy. Pan de Montègres zgadza się niby na tę rolę, lubo mu wkrótce otwiera oczy arcycynicznie pan de Ryons. Kto wie jednak, czy mimo tego wyklarowania pozycyi, nie byłiby się ci państwo długo jeszcze łudzili, gdyby nie pan de Simerose, który przyszedł się pożegnać po raz ostatni z okrutną swą żoną, zanimby wyjechał na zawsze do Ameryki lub Australii. Przy téj sposobności, obarcza ją nader delikatnym komisek, bo prośbą ażeby wzięła na wychowanie maleńkiego chłopczyka który, nie trudno zrozumieć, jest jego własnym synem. Wzruszona małżonka przystaje, i chce zaraz zobaczyć chłopczyka, ale p. de Montègres który się w mężu obawiał rywala, zazdrośny i podejrzliwy, pobiegł w ślad za jęj powozem. To ją oburza, doprowadza do sceny między nią a zakochanym, z której skorzystałby pan de Ryons, bo pani de Simerose urażona, jemu proponuje swą miłość, gdyby... nie nagły zwrot autora czyli raczej pana de Ryons. Powiada on bowiem nagle, że chciał ją tylko uratować od zguby, która spotkała własną jego matkę; lecz że miłość jęj na téj samęj umieszczona drodze, co i obowiązek, to jest w sercu męża. Zelektryzowana pani de Simerose przystaje na to z ochotą, i następuje drugi ślub moralny tychże samych małżonków.

Co za szczęście dla pana de Simerose, że wtedy gdy on pakował tłumoczek do Australii, znalazł się właśnie jakiś pocziwy przyjaciel jego żony, który mu uślał drogę do pojednania! A gdyby też był pojechał do Australii? Odpowiedzieć na to nie śmiemy, ale z logicznęj dedukcyi sądziłoby trzeba, iżby nie miał już poci wracać. Utylitarność więc radzi tu koniecznie, ażeby każdy zeniący się, a przynajmniej każdy poróżniony z małżonką, zapisał sobie natychmiast telegrafem takiego filantropijnego „przyjaciela kobiet”.

Zaiste, powtórzyłyby tu trzeba zdanie pewnego krytyka o sztuce dramatycznej francuzkiej w ogóle, a o Dumasowskich sztukach w szczególe: Sztuka chyli się do upadku! więcej jeszcze; powiedziełoby trzeba że coś ważniejszego, coś ścisłej spojonego z przeznaczeniami ludzkości, chyli się do upadku. Jakaś powolna, umiejętna a subtelna trucizna działa potężnie, a działa niebezpieczniej, aniżeli oszołomienia serc, praktykowane za czasów wznownego romantyzmu francuzkiego, bo z oszołomienia można się wytrzeźwić, bo jest ono zawsze oznaką ruchu, ognia, życia; taka zaś trucizna prowadzi na straszliwy step duszy nie mający granic, nie dający wytchnienia.

Rzekliśmy że gra takich artystów jak pp. Królikowski, Żółkowski i Modrzejewska, głównie podpira komedya „Przyjaciel kobiet”. P. Królikowski jako pan de Ryons, trzymał lekko i swobodnie tę dla jego tragicznego talentu nużącą rolę, rozlewał humor i wesołość zgrabnem wtrącaniem dowcipnych słówek, a pobudzał akcyę, wytrawną swą umiejętnością obejścia się na scenie. Pan Żółkowski jako pan Leverdet, małą swą rolę upamiętnił się wyraziście. Zawsze charakterystyczny, z jednego odlewu od początku do końca, rozbudzał śmiech szczery i szczere zadowolenie. Poma gała mu też w tém niemało rola wyrazista i jasno nakreślona.

Nareszcie pani Modrzejewska jako pani de Simerose, zdaje się stworzoną do tej roli. Właściwy jej wdzięk, swobodne i eleganckie ruchy, piękna dykeya w wypowiedaniu pięknych ustępów oddziaływały zawsze sympatycznie. Słowa i ruch w chwili gdy powiada, że ją nieobchodzi pan de Montègres, podyktowało poczucie natury, o jakie nie łatwo.

Nemo.

